№ 33. 14. Sierpnia 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Jan Kollar.

Wielki piewca wzajemności słowiańskiej urodził się w mieście Moszowcach dnia 29 lipca 1793 a umarł 24 stycznia 1852 roku. Życiorys tego człowieka ciekawy nie tyle ze względu na losy poety ile na stosunki, wśród których żył i działał. Żył on bowiem w chwili, kiedy naród słowacki ocknął się po długim śnie i do nowego rwał się życia. Spiętrzone okolicznościami przeszkody stworzyły cały szereg tragicznych konfliktów, w których Kollar czynną odegrał rolę, ale nie uprzedzajmy wypadków. Wszechstronne i głębokie wykształcenie, jakie posiadał, zawdzięczał sam sobie i swojej wytrwałej pracy, bo ojciec jego ani z początku ani potem nawet, gdy syn znaczne poczynił postępy, o uczęszczaniu do szkół i poświęceniu się nauce myśleć nie chciał. Rzecz uwagi i zaznaczenia godna, że młodociany Kollar w pierwszych latach swych studjów tak rozmiłował się w łacinie, będącej obowiązkowym językiem wykładowym w szkołach węgierskich, że pragnął przez czas jakiś, ażeby wszyscy ludzie bez wyjątku jedynie łaciną się posługiwali. W 10-tym roku życia zdradzał już zdolności poetyczne, którymi tak miał potem zasłynąć. Odznaczał się wrażliwością na piękno natury i zamiłowaniem przyrody, z którą żył blisko i szczerze. Zaledwie chłopiec zakosztował rozkoszy wiedzy, gdy ojciec odebrał go ze szkół, zmuszając do obrania jakiegoś praktycznego zawodu, kiedy atoli Jan dalszego kształcenia wyrzec się nie chciał, wygnał go zatwardziały ojciec z domu. Po krótkiej włóczędze dostał się Kollar do miasta Bystrycy, gdzie oddał się studjom nad klasykami, podówczas bardzo modnymi. W 1812 r. opuścił Bystrycę a przed przeniesieniem się do Preszburga odbył podróż po rodzinnym kraju, która zrodziła w nim więcej zamiłowania do ojczystej mowy, niż do łaciny. Uczył się pilnie także innych języków, jak francuskiego i angielskiego, a oprócz tego ciągle podróżował i coraz więcej wyrabiał w sobie ducha słowiańskiego. W 1815 r. złożył wybornie egzamin na księdza i postanowił przenieść się na dalsze studja do Niemiec i rzeczywiście wyjechał w 1817. do Jeny, zaczepiwszy po drodze o Pragę, w której poznał Jungmana. W Jenie studjował filozofję, historję, botanikę, mineralogję i nauki polityczne. Poznał Goethego, któremu przekładał słowackie pieśni; wielki poeta niemiecki wykazywał mu ich wartość i cenę, zachęcając do zbierania i zachowania od zatracenia. Najwięcej wpływu wywarł jednakże na Kollara pobyt na ziemi ongi słowiańskiej a dzisiaj całkiem zgiermanizowanej. Począł on studja i poszukiwania historyczne dla poznania smutnych dziejów tych plemion słowiańskich, które brutalna siła giermańska zmiotła z powierzchni ziemskiej.

Tutaj też odezwała się jego miłość indywidualna, pokochał bowiem Wilhelminę Schmiedt, córkę proboszcza, a miłość ta pobudziła go do pracy poetyckiej i wiele pięknych ustępów jego głównego dzieła p. t. „Slavy Dcera“ zawdzięczamy właśnie tej miłości dla Miny, jak swą ukochaną nazywał. Miłość jego cieszyła się wzajemnością, ale matka Miny o małżeństwie i słyszeć nie chciała. W 1812 r. rzucił Jenę z rozdartem sercem i znowu puścił się w drogę krajami niegdyś słowiańskiemi, potem szedł dalej na zachód, aż wreszcie oparł się o Amsterdam, gdzie odwiedził grób Jana Amosa Komeńskiego. Wróciwszy do Pragi poznał się z Dobrowskim, pierwszym budzicielem Czechów, a razem z Palackim płakał nad brzegami Dunaju nad smutnym losem swego biednego narodu. Niebawem nadarzyła mu się sposobność rozpoczęcia walki w obronie uciśnionych, bo w 1819 r. został wyświęcony na księdza w Peszcie, gdzie zmuszony był ucierać się ustawicznie z Niemcami. Pierwszem dziełem Kollara było założenie szkoły słowackiej 1820 r. mimo silnego oporu Niemców.. Nie dość było założyć szkołę, trzeba było jeszcze napisać podręczniki, elementarze i. t. d.; Kollar nie cofnął się i przedtem pisząc odpowiednie celowi książki. Wkrótce z pomocnika został proboszczem, wskutek czego coraz większe zmuszony był znosić szykany wrogów słowiańszczyzny.

Niebawem do Niemców przyłączyli się i Madjarzy, nie zadowoleni z tego, że Kollar wydał dwa zbiory swych poezji w 1821 i 1824 r., przejęte nawskroś ideę słowiańską. Zaciekłość doszła do tego stopnia, że zaczęto wykupywać jego najwybitniejsze dzieło p. t. „Slavy Dcera“ i palić. Rozgłos książki tak był wielki, że krążyła w odpisach, a po siedmiu latach wyszła w

drugiem o dwie nowe pieśni pomnożonem wydaniu. „Slavy Dcera“ zawierała tyle naukowego, a szerszemu ogółowi nieprzystępnego materjału naukowego, że zażądano od autora napisania objaśnień czyli wykładu, który istotnie pojawił się razem z drugiem wydaniem roku 1832. Badania jego naukowe znalazły swój wyraz w dziele pt. „Rozprawy o imionach, początku i starożytnościach narodu słowackiego oraz jego plemienia.“ W 1825 r. wskutek fantazyjnej wieści o śmierci swej ukochanej Miny zaniemógł ciężko na zdrowiu. Silną pociechą w tych strapieniach było zamiłowanie do przyrody i pieśni ludowych, których wydał dwa zbiorki: jeden 1834 a drugi 1835 roku. Zresztą miał nieszczęśliwy Kollár wielu przyjaciół, którzy pocieszali go i w pracy wspierali. W pierwszym rzędzie liczył się do nich poważny uczony Szafarzik, który z poetycznym umysłem Kollára uzupełniał się, a dając mu głęboką wiedzę, brał od niego natchnienie i zapał.

Po długim szeregu strapień doznał nareszcie nieszczęśliwy Kollár, cierpiący za siebie i za naród, pewnych ulg. W 1833 r. postanowił sam cesarz Franciszek I. równouprawnienie peszteńskich Słowaków z Niemcami głównie w kierunku kościelnym. W rok potem polecono Kollárowi wygłoszenie uroczystej mowy przy instalacji nowego superintendenta. W przemówieniu swem domagał się Kollár swobody dla języka słowackiego, prześladowanego przez Niemców i Madjarów. Znakomity poeta był zarazem dobrym mowcą, o czem świadczą jego kazania, drukiem potomności przekazane. Jako umysł wyższy nie zamykał się w suchych formułkach teologicznych i nie odznaczał się mandaryńską pracowitości. W tym samym czasie zaszła także zmiana w prywatnych stosunkach Kollára, bo oto w 1835 r. poślubił swoją ukochaną Minę, gdy po śmierci matki nikt nie mógł stawiać przeszkód jej przenosinom do Węgier. 1827 r. wydał Kollár swoje dzieło: O literackiej wzajemności Słowian, którem zwrócił na siebie uwagę całej wykształconej Europy i ściągnął jeszcze większą nienawiść wrogów słowianszczyzny: Niemców i Madjarów. Kollár wzywał Słowian nie tyle do jedności politycznej, jak raczej do jedności duchowej, literackiej, pragnąc, aby każdy wykształcony Słowianin znał kilka języków słowiańskich, najwybitniejsze utwory literatur słowiańskich, jeżeli nie w oryginale, to przynajmniej w przekładach. Takie były słowiańskie pragnienia Kollára.

W 1839 r. wydał pod wpływem Szafarzika dzieło naukowe p. t. „Slawy Bogini“, w którem dowodzi pokrewieństwa języków słowiańskich ze sanskrytem i obyczajów słowiańskich z indyjskimi. — W 1841 r. odbył podróż do Włoch; owocem jej była: Sławo — Italia słowiańska, w której autor uniósł się swoją ideą i chciał się dopatrzeć Słowian nawet w dawnej Italji. Po powrocie do domu dowiedział się o dobrej nowinie. Do niecierpliwości doprowadzeni Słowacy postanowili pod wpływem dzielnego narodowca Sztura wysłać do Wiednia deputację z prośbą o opiekę Korony przeciw samowolności Madjarów i Niemców. Kollár przyłączył się do deputacji i sformułował nawet jej żądania. Rekurs węgierskich Słowian zawierał dziesięć punktów, domagających się równouprawnienia w szkole, urzędzie, sądzie, wogóle wszędzie, gdzie pozostają ze sobą w stosunkach wzajemnych Słowianie z jednej strony a Madjarzy i Niemcy z drugiej. Deputacja osiągnęła jedyny cel pozytywny, a mianowicie ściągnęła na siebie prześladowanie, które najsrożej ścigało Kollára, jako najwybitniejszego jej członka, a co w tem wszystkiem było najsmutniejszego, to fakt, że narzędziem w rękach Madjarów był Słowak Kossuth, który dziwnym zaślepiony obłędem zagłuszył w sobie głos natury i srożył się przeciwko własnej krwi. Rzecz dziwna, że tak dzielny i wielki umysł, jakim był Kollár, nie uchronił się na starość od popełnienia niepojętego błędu. Trzeba wiedzieć, że w czasach Kollára językiem literackim na Słowacji była czeszczyzna, wyłącznie przez tegoż poetę używana. Młode pokolenie narodowców zrozumiało, że do szerokich mas można przemawiać tylko w ich własnym języku i dla tego postanowili wprowadzić do literatury słowaczyznę, czemu oparł się namiętnie Kollár. Walka zawrzała na całej linji a sangwiniczny twórca „Slavy Dcery“ i miłośnik swego własnego narodu posunął się do tego stopnia, że począł miotać obelgi na ojczysty język. Mimo atoli powagi Kollára język słowacki wyrobił sobie stanowisko w literaturze i dziś wyłącznie jest używany.

W 1844 r. wyjechał Kollár z rodziną do Szwajcarji i Włoch, poczem obie podróże opisał. W 1848 r. otrzymał wezwanie z Wiednia do przedłożenia życzeń narodu słowackiego, których jednakże po skończonej wojnie wcale nie uwzględniono. Tylko los poety poprawił się nieco, został bowiem mianowany profesorem słowiańskich języków i starożytności na uniwersytecie wiedeńskim, co mu dało możność spokojnego spędzenia kilku lat życia. Wkrótce śmierć zakończyła jego ziemską wędrówkę dnia 24 stycznia 1852 r, pochowano go na cmentarzu wiedeńskim i umieszczono na nagrobku następujący, wiele mówiący napis:

Za życia w sercu cały naród nosił,
Po śmierci żyje w sercu całego narodu.

Wojciech Szukiewicz.

Z korespondencji Teofila Lenartowicza.

O ile duchowe oblicze Lenartowicza, jako poety, odzwierciedla się z plastyczną wyrazistością, w jego utworach, jasne i zrozumiałe dla całego narodu, o tyle dziś jeszcze mało wiemy o nim, jako o człowieku. Życie mazowieckiego lirnika upłynęło zdala od ojczyzny, śród obcych;

brak więc dotkliwy tych świadków naocznych, sąsiadów, przyjaciół, krewnych, których wspomnienia i opowiadania dostarczają zwykle wątku biografom znakomitych ludzi. Jedynym niemal okienkiem, przez które ujrzeć możemy duszę poety nie w blaskach poetyckiego natchnienia, lecz w powszedniej, codziennej, ludzkiej szacie, jest jego korespondencja prywatna. Wdzięczni przeto jesteśmy p. F. Jelonkowi z Drohobycza za nadesłanie nam kilku listów poety, pisanych między rokiem 1876—79 do p. Janiszewskiego teścia p. J. Do ogłoszenia w całości listy te, jako zawierające wiele okolicznościowych, ściśle prywatnego charakteru szczegółów, nie nadają się. Ograniczamy się więc na przytoczeniu z nich kilku, ogólniejsze znaczenie posiadających ustępów, które rzucają pewne światło na poglądy lub uczucia zmarłego lirnika.

Dla tułacza, tęskniącego „za wietrzykiem z swojej ziemi“, przyjazd Polaków do Florencji bywał zwykle radośnym, wzruszającym wypadkiem, donosi też o polskich turystach na pierwszem miejscu w listach, cieszy się, że jest ich »aż tylu“, chociaż nie zawsze z nimi widywać się może z powodu ciągłego w owych czasach niezdrowia, wystarcza mu świadomość, że są. »Do Pizy wybieram się jak za świat — pisze w kartce z końca r. 76, — a to z powodu przeciągu polskich ptaków w tej porze, którzy zawadzają o moją siedzibę i także, iż czas politycznie biorąc znowu zaczyna być djablo ciekawy dla nas. Za kilka dni niewątpliwie wojna“... „Tego roku — czytamy w liście z 78 r. — miałem tu kilka wizyt poczciwych starych przyjaciół: Kraszewskiego, dr. Chałubińskiego, Ujejskiego Kornela; miałem wiele przyjemności, ale też i trosk nie mało, o których podobno, że lepiej nie wspominać“. I o stale zamieszkałych we Włoszech rodakach mówi często, przejmując się żywo ich złym lub dobrym losem. »P. Wołyński wciąż zajęty swojem muzeum Kopernika — pisze w czerwcu 1878 r., a w grudniu następnego donosi: „Wołyński wciąż czynny, ale w biedzie, bo literatura nie popłaca, a tu dzieciaków ćma, sztukuje, jak może, ale nie tęgo mu idzie; gdyby Moskal dał konstytucję, to powiada, że wróciłby do Warszawy, ale słaba to nadzieja, a co do mnie, to jabym i pod konstytucyjny moskiewski rząd nie wracał«. A jednak tęsknota za krajem pożerała mu serce, rozbrzmiewa ona żałośnem echem we wszystkich listach i przez wszystkie przewija się złotą nitką nadzieja powrotu. »O tak, tak, zdrowia tylko — pisze w grudniu 76. r., a jeszcze się zobaczymy może we Lwowie na rok przyszły, gdzie chciałbym bardzo pojechać, jeżeli okoliczności pozwolą i to z dobrze naładowaną teką“. W innym znowu liście cieszy się, że „zima tego roku i we Włoszech daje się czuć, bo to usposabia do przejścia w klimat zimniejszy“. W chwilach zaś przygnębienia troską i chorobą, kiedy zdaje mu się, że już „znikąd pociechy żadnej, znikąd nadziei“ wyglądać nie może, przyświeca poecie jeszcze myśl o kraju: „obym się mógł, aby do Polski zaciągnąć, — woła — jak niektórzy z poczciwych żydów do Jerozolimy, na wieczny odpoczynek!“ „Kto wie, czy się nie wybiorę, ale już na dobre z Włoch do Galicji, albo Księstwa, aby gdzie znalazłszy kąt pracować, pokąd sił starczy, pokąd wzrok jeszcze służy i myśl jasno rzecz obejmuje“ — pisze w jaśniejszej jakiejś chwili, donosząc przyjaciołom, że „dzięki Bogu trzyma się jeszcze na nogach i pracuje, jak może“, ale wkrótce potem znowu nastraja pióro na smutną nutę, gdy pisze w grudniu 78 r.: „Obiecywałem sobie, że będę mógł pojechać do kraju, ale to nie tak łatwo wykonać, jak zamierzyć: stan zdrowia, upały i wyraźny brak celu powstrzymały mnie w drodze, dojechałem do Wenecji i wróciłem w góry. — Jechać, kiedy tam u was każdego, kto się Polakiem nazywa, wypędzają panowie krakowscy, a wszakże ja się nie zaprę mego polskiego uczucia. — Na cośmy tu przyszli panie Henryku łaskawy! Ot bieda, nędza i to podwójna, bo i majątkowa i moralna“.

O „panach krakowskich“ wspomina często z goryczą i pogardą, oto naprzykład, co pisze w styczniu tegoż roku: „W kołach tutejszych poczciwych Włochów najwyższe oburzenie sprawiają nasi panowie odstępcy narodowej chorągwi; nazywają to archicynizmem politycznym, jakiego przykładu nie ma w dziejach — ten program odstępstwa, stawiany z góry. — Zle jest bardzo u nas i tem gorzej, że wszystko, co zdolniejsze sprzedaje się i za lichą nagrodę do tego obozu zaciąga... Gdzież my to idziemy?“..

Sprawy ojczyste, najdroższe sercu poety, nie odciągają jego uwagi od wypadków ogólno europejskich: „Z gazet wiecie państwo, co się dzieje w polityce — pisze we wspomnianym już liście z grudnia 78 r. — wszystko się burzy, wszędzie niepokój, jakby już jutro jakaś katastrofa stać się miał“. A donosząc w innem miejscu o zgonie króla włoskiego, robi następującą uwagę: „Masy zostają, indywidualności wybitniejsze odchodzą. — Świat bez przywódców, prócz w jednych Niemczech, gdzie znajdują się ludzie, ale jacy to ludzie? Jacyś z przed dni ostatecznego sądu ludzie dopuszczenia bożego“.

O sobie rzadko mówi Lenartowicz w listach, a nawet i w takich razach chętniej dzieli się dobrą jakąś wiadomością, niż smutną: „Pracowałem tego roku więcej i szczęśliwiej, jak kiedykolwiek — pisze w końcu 77 r. — a gorąca sprawadziły mi mały krwotok i wielkie osłabienie“, a w następnym liście, pisanym w kilka miesięcy później, dodaje: „powietrze w górach Apeninach, bardzo mi posłużyło — pracowałem też dużo i jako literat i jako rzeźbiarz i jeśli można wierzyć temu, co ludzie mówią, ma to nie źle wyglądać“.

Spiski irlandzkie w Ameryce.

(Dokończenie).

Nieudanie się wyprawy 1870 r. wywołało wielkie niezadowolenie pomiędzy Irlandczykami i pociągnęło za sobą rozprzężenie się Bractwa Fenijańskiego. Widocznem było, że zdrada zakradła się do jego wnętrza. Już wówczas padło było podejrzenie na Le Carona.

Tymczasem w Irlandji rozpoczęła się walka terorystyczna, która miała na celu oswobodzenie uwięzionych spiskowców z 1865 r. W 1867 r. popełniono zabójstwo w Manchester'ze i wysadzono w powietrze Clarkenvell. Wielu terorystów musiało uciekać do Ameryki i zwolna zaczęli oni przewodzić w kierowaniu sprawy politycznej.

Już w 1870 r. sformowały się pierwsze zawiązki późniejszego wielkiego stowarzyszenia, *Clan-na-gael*, które ostatecznie ukonstytuowało się w 1873 r. i odegrało w nowszych dziejach irlandzkich ważną rolę. Akt konstytucyjny onego powiadał, że zadaniem stowarzyszenia było dopomódz narodowi irlandzkiemu do odzyskania zupełnej i całkowitej niepodległości przez obalenie panowania angielskiego«.

Nowe stowarzyszenie, jakkolwiek naśladowało ustrój Bractwa Fenijańskiego, to wszakże miało więcej spiskowy charakter od poprzedniego. Członkowie oznaczani byli numerami, i nazwiska ich nie powinny były być znane. Przyjmowano ich z zastosowaniem wielkiej ostrożności. Koła wysyłały delegowanych na konwencje, które odbywały się i na których wybierano prezydenta z władzą wykonawczą na rok jeden. Największe jednak znaczenie miało dyrektorjum rewolucyjne, złożone z siedmiu członków, z których trzej byli wybierani przez władzę wykonawczą, trzej przez związek, znajdujący sie w Irlandji, a siódmy był wybierany przez sześciu poprzednich i miał pod pewnym względem dyktatorską władzę.

Tymczasem Caron, który był ściągnął na siebie podejrzenie, przez parę lat trzymał się na uboczu i kończył medycynę, którą był dawniej rozpoczął. Zostawszy lekarzem, osiedlił się w Braidwoot i tam wszedł do związku: *Clan-na-gael*. Jako prosty spiskowy nie wiele mógł się dowiedzieć o tem, co się robi. Poradził był sobie w ten sposób, że założył w Braidwood koło i dał siebie wybrać na starszego sekretarza, który otrzymywał relację o wszystkich ważniejszych sprawach i planach. Było to w 1876 r. *Clan-na-gael* liczył już w tym czasie 11.000 członków.

Przewodził wówczas w związku O'Donowan Rossa, który uciekł z więzienia angielskiego, gdzie haniebnie z nim się obchodzono. Kiedy w 1876 r. wojna pomiędzy Turcją i Rosją zdawała się być nieuniknioną i kiedy przeciwieństwo interesów Anglji i Rosji, czyniło stosunki pomiędzy niemi bardzo napiętemi, postanowił on rozpocząć czynną politykę. W tym celu z jednej strony, za pośrednictwem dziennika *Irisch World*, zbierano fundusz bojowy (Skirmishing Fund.) i w ciągu roku jednego zebrano 23,350 dolarów; a z drugiej strony zawiązano stosunki z rządem rosyjskim, któremu na wypadek wojny z Anglją obiecywano, że kilku miljonerów irlandzkich zajmie się w San-Francisco uzbrajaniem statków korsarskich. Układy z rządem rosyjskim, przy pośrednictwie ambasadora w Waszyngtonie, posunęły się tak daleko, że dla ostatecznego porozumienia się, wysłano doktora Caron'a do Petersburga. Kiedy w późniejszym czasie stosunki pomiędzy Rosją i Anglją stały się mniej napięte, rząd rosyjski, na żądanie gabinetu londyńskiego, odwołał z Waszyngtonu tego ambasadora, który z rewolucjonistami irlandzkimi układał się o wspólne działanie.

Chociaż te układy z Rosją do żadnego skutku nie doprowadziły, to wszakże wzbudziły one w rządzie angielskim silne obawy. Spostrzeżono, że jakkolwiek Irlandja sama była bezsilna zachwiać potęgę Wielkiej Brytanji, to jednak w razie wojny ze Stanami Zjednoczonemi lub z Rosją, mogła sprowadzić nader groźne następstwa. Gladstone, który już poprzednio, celem przejednania ludności irlandzkiej, wyjednał ważne dla niej ustępstwa, postanowił teraz wejść w bliższe stosunki z umiarkowanem, parlamentarnem stronnictwem irlandzkiem, ażeby wzbudziwszy w nim wiarę w możność dojścia na drodze legalnej do zamierzonego celu, osłabić przez to wpływ i znaczenie stronnictwa rewolucyjnego. Na postanowienie to wpłynęła także i ta okoliczność, że Irlandczycy, przeważnie robotnicy na wielkich fabrykach, i w samej Anglji stawali się przy wyborach ważnym czynnikiem.

Stronnictwo umiarkowane irlandzkie chętnie przyjęło ofiarowane przez Gladstone'a przymierze i nawiązawszy stosunki ze stronnictwem rewolucyjnem, starało się skłonić je ku zmianie dotychczasowej polityki, odciągając od planów na zagranice obrachowanych, a doradzając wspólne działanie z postepowemi stronnictwami angielskiemi. Dano tej polityce nazwę: *New Departure* (Nowy punkt wyjścia). Przybycie socialisty, Michała Davitte'a do Ameryki, przyczyniło się do wzmocnienia tego przekonania, że Irlandczycy w ruchu robotniczym i socialistycznym, który w tym czasie wzmagał się w Anglji, mają szczerego i silnego sprzymierzeńca. John Devay więc, który w tym czasie stał u steru polityki spiskowej, zgodził się na nadanie onej nowego kierunku. Umiarkowane i rewolucyjne stronnictwo przez czas pewny szły razem. Kiedy Parnell w 1880 r, przybył do Ameryki, naczelnicy związku *Clan-na-gael* towarzyszyli mu i przygotowywali wszędzie gorące przyjęcie, jakie okazywała mu ludność irlandzka. Le Caron, który stawał jako świadek w słynnym procesie Parnella z dziennikiem *Times* w 1889 r., mającym na celu zdyskredytowanie Gladstone'a i Home-Rule'u, opowiada w swoich pamiętnikach ze wszystkiemi szczegółami, nie szczędząc barw jaskrawych i słów

silnych, o stosunkach parlamentarnego przewódcy Irlandczyków z późniejszemi dynamitarami.

Kiedy wskutek zamordowania dwóch wyższych urzędników w Dublinie, Gladstone musiał ustąpić rządy Salizbury'emu, rewolucjoniści, którzy już byli stracili wiarę w ugodową politykę umiarkowanych, postanowili na konwencji, trwającej w Chicago od 3. do 10 sierpnia 1881 r., odwołać się do dynamitu. Le Caron opisuje szczegółowo te posiedzenia, w których brało udział 40 adwokatów, 8 doktorów medycyny, 2 sędziów, sporo księży katolickich i protestanckich, kupców, przemysłowców i robotników. Wszystkich delegowanych było 360. Przemawiali gorąco i stanowczo za dynamitem pomiędzy innymi i ksiądz Betts, młody doktor Gallaher, prezes rycerzy pracy Powderly.

Wkrótce rozpoczęła się kampanja dynamitowa, która przez kilka lat pozbawiała snu burżuazją angielską. W 1882 r. O'Donowan Rossa próbował wysadzić w powietrze ratusz w Liverpool'u. W 1883 r. objął kierownictwo nad dynamitarami doktor Gallaher i szeregiem zamachów napędził wszystkim bogaczom strachu śmiertelnego. Uwięzienie jego nie powstrzymało rozpoczętej akcji. W 1884 r. wydano na nią 118.000 dolarów. W 1885 r. przygotowano wybuch w samej izbie poselskiej.

Jakkolwiek będziemy oceniali, niepodobna nie przyznać pewnego skutku kampanji dynamitowej. W Anglji chciano spokoju i potępiano terorystyczną politykę Salisbury'ego. Gladstone znowu przyszedł do władzy i postanowił o krok dalej posunąć się w swej ugodowej polityce. W 1886 r. 8. kwietnia, wniósł do izby słynny swój *Homerule bill.*

Na konwencji, która odbyła się w tym roku w Ameryce, postanowiono zaniechać walki dynamitowej. Jeden z wpływowych członków, John Finerty, zgadzając się na tę uchwałę, złożył jednak następujące oświadczenie: »Nie mam zamiaru zwalczać polityki Parnella, przemawiam jeno jako człowiek wolny, jako syn dwudziestu irlandzkich pokoleń buntowniczych przeciwko panowaniu angielskiemu i oświadczam, że leader Irlandji nie może mnie zmusić do uznania, że przedstawiony przez Gladstone'a bill jest naszym celem ostatecznym. Dla utrzymania tego billu, potrzebujemy Parnell'a, ale nie potrzebujemy go dla wysadzenia bramy w więzieniu angielskiem. *B. L.*

GAŁĄZKA SPIREI.

NOWELA

przez **Marję Jarmund.**

Dokończenie

Więc umarła... naprawdę umarła i to w szpitalu?

Miał nadzieję, że zaprzeczy tak niepodobnej do prawdy wiadomości. Czyż rzeczywiście było to możebne, aby jedyna, która mu była drogą na ziemi, umarła w szpitalu i żeby on na to pozwolił?

Niestety profesorowa potrząsnęła smutnie głową i nowe łzy zaczęły spływać po jej twarzy.

— Biedna dziewczyna — szepnęła — nie wiedziała nawet ile nam sprawi boleści tak przesadną delikatnością. Niech pan przeczyta ostatni jej list, który odebrałam wczoraj, wraz z zawiadomieniem o śmierci. On wyjaśni, jakie nią w tym razie kierowały pobudki.

Więc to był jej list. Ostatnie wyrazy, jakie przed śmiercią skreśliła. Pochwycił go skwapliwie, ale ręka odmówiła znów posłuszeństwa i opadła bezwładnie. Ciężkie westchnienie wyrwało mu się z piersi.

— Umarła... niedomyślając się nawet, że o wspólnej z nią zamarzę jeszcze przyszłości.. gdyby można było powrócić wstecz trzy dni tylko, ale te trzy dni równają się wieczności... 15-go maja.. a dziś siedemnasty..

Zadrżał. Na żałobnej karcie migotały mu przed oczami, jakby krwią zabarwione głoski. „17 maja o godzinie 12-ej." Więc to dziś w tej chwili właśnie, kiedy to dziwne dziecko, tak do niej podobne, rzuciło na niego gałązką spirei, zwłoki jej opuszczały na zawsze ziemskie mieszkanie. Rozprsężone nerwy i rozgorączkowany umysł kazały mu w zwykłym żarcie rozpieszczonego dziecka poszukiwać nadprzyrodzonego jakiegoś zjawiska. W wyobraźni jego utrwaliło się silne i niezwruszone mniemanie, że duch biednej zmarłej, unoszący się nad nim, kierował ręką dziewczynki, żeby mu przypomnieć tym białym kwiatkiem, dane niegdyś przyrzeczenie.

— Nie omyliło jej przeczucie, a ja nie chciałem wierzyć, że po raz ostatni widzimy się na ziemi — szepnął, a łzy pierwsze może w życiu stoczyły się po zoranej cierpieniami twarzy.

Niedawno dumnie powtarzał, że „jest panem swego losu i od niego wyłącznie zależy, jak nim rozporządzi", a teraz pycha ta w proch starta, zmieniła się w dziwną pokorę.

— Nie czyta pan? zapytała półgłosem profesorowa zdziwiona tak niezwykłem zachowaniem się swego przyjaciela.

Zapytanie to przywróciło go do przytomności. Pochwycił skwapliwie leżącą na kolanach kopertę i wyjął z niej ćwiartkę zapisanego papieru. Pismo było ładne, wyraźne, choć ku końcowi widocznie drżącą z osłabienia ręką kreślone.

„Droga przyjaciółko, przed chwilą wyszedł lekarz, podpisawszy na mnie wyrok śmierci. Zadziwisz się może, albo weźmiesz mu za złe nawet, że ośmielił się prawdę mi odkryć. Nie potępiaj go jednak. Był on zmuszonym do tego moralnie... Ja chciałam dowiedzieć się koniecznie ile chwil pozostaje mi jeszcze do życia... i wiem już, że.. trzy dni zaledwie.. Nim to słońce, rzucające przez otwarte okno wokoło ogniste snopy świateł i promień, stanie po raz trzeci tak wyso-

ko, mnie już tu nie będzie. Nie myśl jednak, żebym świat ten opuszczała z przykrością. O nie. Dawno już, bardzo dawno byłam na to przygotowaną. My dzieci tego wieku, z naszymi nerwami przesubtelizowanymi, z naszą wrażliwością nadmierną, z naszemi pragnieniami nieokreślonemi, których nic i nigdy zaspokoić nie jest w możności, my musimy umierać przedwcześnie. Za ciasno dziś nam na ziemi. W zetknięciu z ostrą, raniącą rzeczywistością, wśród ciężkich warunków bytu i w ciągłej walce z poziomemi instyktami, podłością i złością otaczających nas nędzot, musimy ustąpić, tracąc po woli odwagę i siły. W nierównej walce słabszy ulega zawsze silniejszemu, to prawo natury. Dla tych których myśl wznosi się wyżej, a wzrok z niepokojem śledzi w koło siebie przyczyny rzeczy, prawo to dawno już znane. Ileż to kwiatów wspaniałych i pełnych nadziei ginie bezpowrotnie, pod dławiącymi uściskami nędznego zielska i chwastów. Dlaczego przyroda jest tak niesprawiedliwą? Czy ludzkość odkryje kiedy tę tajemnicę? — Ja musiałam być jednym z takich kwiatów, przeznaczonych na zniszczenie. Brakowało mi światła, do którego wznieść się usiłowałam czyniąc rozpaczliwe wysilenia, powietrza i ciepła, bez których istnieć niepodobna. Nic więc dziwnego, że zwątpienie ogarnęło mnie tak prędko, że opuściłam dłonie i jak łódź skołatana bez steru, dałam się unieść burzliwym falom, nie myśląc nawet o ratunku. Nie każdy rodzi się olbrzymem zdolnym do walki i zwycięztw.

Pesymizm to ciężka, nieuleczalna niemoc ducha. Kto nim raz został zarażony, dla tego nie ma już ratunku, musi umierać nieodwołalnie. Niech droga pani strzeże Marylki: zwątpienie opanowuje tylko wyższe, myślące umysły, dla pełzającego po ziemi z wzrokiem utkwionym w kałuże pełne błota, nie ma żadnej obawy. Ci których nic wyższego nie obchodzi na świecie o niczem nie myślą, wątpić nie mają powodu. Robak się lęgnie tylko w bujnych kwiatach, wznoszących dumnie głowy ku światłu i górze, a omijają starannie osty i pokrzywy.

Jestem znużoną, śmiertelnie znużoną życiem, z radością więc oczekuje na obiecany mi spoczynek. Straciłam już oddawna możność i siłę pragnienia czegokolwiek. Zobojętniała mi nawet wiedza i nauka, do których z takim dawniej garnęłam się zapałem. Za godzin kilkanaście wielka zagadka, zajmująca ludzkość od początku świata i niepokojąca myślicieli, owo hamletowskie „być albo nie być“ zostanie dla mnie rozwiązanem. A ja nie jestem ani niespokojną ani ciekawą, co się ukrywa za tajemniczą zasłoną. Jedynem pragnieniem, jakie mam jeszcze, jest spoczynek, ciągły, wieczny, niczem niezamącony spoczynek.

Nic nie zostawiam na świecie czegobym mogła żałować, oprócz was jednych. Nikt też oprócz was po mnie nie zapłacze, a miejsce opróżnione zajmie pierwszy lepszy. I to jednak ma swoją dobrą stronę, bo jeśli mogiła, na którą żadna łza nie padnie, jest podwójnie smutną, to śmierć, kiedy się nie zostawia rozpaczających na świecie, o wiele jest lżejszą.

„Wiem dobrze, znając wasze poczciwe serca, że żal mieć do mnie będziecie, iż czując się chorą śmiertelnie, nie szukałam u was schronienia. Nie chciałam jednak do waszego cichego i pracowitego domu wnieść niepokoju i smutku. A może i sama.. otoczona troskliwością i opieką, w ostatniej godzinie byłabym zapragnęła przedłużyć życie.. Lepiej więc umierać tak, jak żyłam: wśród obojętnych i obcych.

„Jestem ubogą. Nigdy tak boleśnie nie czułam tego jak dziś, mogąc wam niewiele tylko zostawić. W każdym razie wszystko co posiadam, do was należy.

„Naszemu poczciwemu przyjacielowi prześlijcie ostatnie moje pożegnanie i powiedźcie mu, że lata, spędzone w Olszynce do najmilszych i najswobodniejszych w życiu zaliczam.

O was zaś nie wątpię, że czy w szczęściu, czy w trosce i zmartwieniu nie zapomnicie o waszej wiernej do grobu. Annie.

— Droga pani — wyszeptał złamanym głosem Ludwik — zwłoki naszej biednej przyjaciółki sprowadzimy do Olszynki, niech tam spoczywają na zawsze.

Uścisnął serdecznie rękę starej kobiety i oddalił się krokiem powolnym, chcąc jak najspieszniej ukryć swą boleść zdala od oczów ciekawych. Jako jedyną pamiątką na resztę życia zamiast spodziewanego szczęścia, unosił z sobą ćwiartkę zapisanego papieru i zwiędłą gałązkę spirei, którą mu, jak wierzył silnie, zmarła z za grobu przysłała.

Przemądry Kiełb.

»Z bajek dla dorosłych« Szczedryna

Żył sobie Kiełb. I ojciec jego i matka byli mądremi: powoli, bez kłopotów doczekali w rzece lat matuzalowych, i ani razu nie wpadli w ręce rybaka, ni też w paszczekę szczupaka. I synowi swemu dawali przestrogi. Pamiętaj synku — mówił stary Kiełb umierając — jeżeli chcesz żyć szczzśliwie — bądź przezornym.

A młody kiełb, nie w ciemię bity, czynił wszystko z wielką rozwagą. Widzi, że w wodzie pływają w około niego same wielkie ryby, on zaś z nich najmniejszy: każda ryba może go połknąć, on zaś żadnej. I w istocie nie ma nawet co połykać! Rak może go kleszczami rozciąć na dwoje, wodna pchła — wpić się w grzbiet i zamęczyć na śmierć. Nawet bracia kiełbie i ci, jeśli zoczą, że schwycił komara, natychmiast rzucają się całą gromadą i wydzierają zdobycz. Odbiorą, zaczną wydzierać sobie wzajemnie i daremnie tylko rozedrą komara.

A człowiek? co to za straszne stworzenie!

Jakich to on nie nawymyślał sposobów, ażeby jemu, kiełbowi zadać przedwczesną śmierć. I siecie, i więcierze, i ości, i wreszcie wędkę! Zdaje się co może być głupszego od wędki? — Nitka, na nitce haczyk, na haczyku nałożony robak albo mucha... I w jaki sposób nałożona?.. w najnienaturalniejszem można powiedzieć położeniu! A mimo to najwięcej kiełbiów daje się łowić na wędkę.

Stary ojciec niejednokrotnie ostrzegał go przed wędką. Przedewszystkiem, strzeż się wędki! mówił: bo choć to jeden z najgłupszych przyrządów, jednakowoż dla nas kiełbiów im głupszy tem pewniejszy. Rzucą ci muszkę jako przynętę, ty ją pochwycisz — a mucha zadaje ci śmierć.

Opowiadał także stary, że razu pewnego ledwie sam nie został ugotowany w polewce. Łowili ich podówczas całą gromadą; na całą szerokość rzeki zapuścili sieć i ciągnęli z jakie dwie wiorsty wzdłuż rzeki. Aż strach powiedzieć wiele nałapali ryb! I szczupaków, i okoni, i głowaczy, i płotek — nawet leszczy, leżyboków powyciągali z błotnistego mułu. A kiełbi — bezliku. I wieleż to on stary kiełb doznał strachu, gdy go wlekli w sieci po rzece — tego ani słowem nie wypowiedzieć ani piórem opisać. Czuje, że go ciągną, lecz dokąd — nie wie. Widzi, że po jednej stronie ma szczupaka, po drugiej — okonia i myśli sobie: lada chwila połknie mnie ten lub tamten; lecz one nie ruszają go... Nikt nie ma chętki do jadła. Wszyscy przejęci jedną myślą: Śmierć przyszła a po co i dla czego przyszła, nikt nie wie. Wreszcie zaczęli ściągać skrzydła sieci, wywlekli ją na brzeg i zaczęli rybę wyrzucać z matni na brzeg. Tutaj dopiero dowiedział się kiełb co to jest polewka z ryby. Porusza się na piasku coś czerwonego, wyrzuca w powietrze ciemne, skłębione obłoki, a tak gorąco, że stracił siły odrazu. I tak już bez wody czuje się wielce osłabiony, a tu jesze żaru poddają... słyszy „ogień“ powiadają. A na tym ogniu stoi coś czarnego, napełnionego wodą, i niby jezioro podczas burzy wciąż szumi wre i pieni się; to „kocioł“ — mówią. Wreszcie zawołano: rzucajcie w kocioł ryby, będzie polewka! I zaczęto pakować tam nieszczęsne stworzenia. Wrzuci rybak rybkę, ta z początku pluśnie, potem jakby szalona szamocze się chwilę, znowu pluśnie — i ucichnie; co znaczy, że skosztowała polewki. — Wrzucali, wrzucali najpierw bez wyboru, potem pewien staruszek spojrzał na naszego kiełbika i rzecze, ten to chyba nie przyniesie nam żadnego pożytku. Niech raczej podrośnie w rzece! Wziął go pod skrzele i puścił na wodę. A on też nie głupi, co tchu zmyka do domu! Przyleciał, a w norze wyczekuje go żona martwa raczej niż żywa. I cóż, chociaż starzy podówczas wiele rzeczy opowiadali o polewce mimo to nie wiele kto w rzece po dziś dzień ma o niej należyte pojęcie.

Lecz on, kiełb-syn, wbił sobie dobrze w głowę przestrogi kiełbia-ojca i na każdym kroku ściśle się ich trzymał. Trzeba być bardzo przezornym, powiedział sobie, gdyż inaczej, zginę niechybnie. Najpierw muszę sobie wynaleźć taką ciasną norę, abym sam zaledwie do niej mógł się wcisnąć. Wiercił pyskiem tę norę przez rok cały, i wieleż to strachu doznał w ciągu tego czasu, spędzając noce w mule lub, pod wodnym łopuchem, lub między trzciną. Wreszcie wydłubał ją tak znakomicie, a dokładnie, że sam ledwie mógł się w niej pomieścić. Następnie ułożył sobie następujący tryb życia: nocą, gdy ludzie, zwierzęta, ryby i ptaki śpią, używać będzie ruchu — dniem zaś siedzieć w norze i drzeć. Ze jednak pić i jeść koniecznie potrzeba, on zaś nie utrzymuje żadnej penseji i nie pełni służby, będzie więc wysuwał się z nory około południa, kiedy wszystkie ryby są już najedzone i może wówczas przy pomocy boskiej upoluje sobie jaką muszkę. A jeżeli nie uda mu się jej upolować, powróci do nory głodny i będzie w niej czekał do rana. Lepiej nie jeść, nie pić, niż z pełnym żołądkiem utracić życie! Tak też i czynił. Nocą wysuwał się z nory, używał ruchu, kąpał w świetle księżyca, a dzień przepędzał w norze, drżąc całem ciałem. W samo południe chyba wybiegnie na chwilę, aby upolować jaką zdobycz — cóż jednak o tym czasie można upolować? Wszak wtedy i komar kryje się przed upałem pod liść, i robak załazi pod korę drzewa. Łyknie więc wody i — dosyć!

Cały dzień leży w norze, nie dosypia nocą, nic prawie nie je, a tylko wciąż myśli: zdaje się, że jeszcze żyję? Ach! co to jutro przyniesie ze sobą?

Zmorzy biedaka sen od czasu do czasu, a wówczas śni mu się, że ma bilet na loterję i wygrywa dwieści tysięcy. Nieprzytomny z radości przewraca się na drugi bok, — aż cały pysk wysuwa się mu z nory, — i cóż by się stało, gdyby jaki szczupak był go dostrzegł, wszak byłby go wyciągnął całego z nory.

Raz przebudził się patrzy i widzi, że tuż przed jego norą stoi rak. Stoi nieruchomy, jakby osłupiał i wytrzeszcza na niego kościane oczy. Wąsy mu tylko poruszają się z biegiem wody. Toż to dopiero był strach! I przez cały pół dnia aż do zmierzchu rak nie odstępował go, a on w ciągu całego tego czasu wciąż drżał i drżał całem ciałem.

Innym znowu razem, zaledwie przed rozświtem wcisnął się do nory i ziewnął słodko, zabierając się do snu, — patrzy, a tu przy samej norze czyha szczupak i klapie zębami. I czatował na niego przez dzień cały, jak gdyby samym jego widokiem czuł się nasycony. A on i szczupaka wyprowadził w pole: nie wyszedł z nory i kwita.

I nie raz lub dwa spotykało go coś podobnego, lecz prawie codziennie. I wciąż drżąc odnosił nowe zwycięztwa i co dnia wołał: chwałaż ci Boże, żyję!

Lecz na tem nie koniec: mądry nasz kiełbik,

nie ożenił się i pozostał bezdzietny, wówczas gdy ojciec jego miał liczną rodzinę! Ojciec mój, rozumował — mógł się doczekać sędziwego wieku, kpiąc sobie ze wszystkiego. Wtedy i szczupaki rzeczne były nie tak żarłoczne, i okonie na nas, drobiazg nie ostrzyły zębów! A chociaż raz miał być ugotowany w polewce, to wszakże i w tym wypadku znalazł się dobroczynny staruszek, który go uratował! Obecnie zaś gdy w rzekach mniej ryb, i kiełbie poszły w górę. Nie ma co myśleć o rodzinie, a tylko starać się aby samemu udało się jakoś przeżyć.

I przeżył w ten sposób przemądry kiełb zwyż lat stu. A przez cały ten czas nie robił nic zgoła, tylko wciąż drżał i drżał. Nie ma rodziny, przyjaciół; nikt się do niego nie garnie, ani on do nikogo. W karty nie gra, wina nie pije, cygar nie pali, za pięknemi dziewicami nie ugania się, tylko drży i wciąż myśli: chwała Bogu! zdaje się, że jeszcze żyję.

Nawet szczupaki i te w końcu zaczęły go chwalić, mówiąc gdyby wszyscy prowadzili taki tryb życia, toby dopiero w rzece był spokój. Odzywały się one jednak z takiemi pochwałami o kiełbiu umyślnie, po to tylko, by go wywabić z nory i połknąć. Lecz on i teraz nie dał się podejści mądrością swoją zwyciężył podstępy wrogów.

Wiele lat przeżył przemądry kiełb po nad pierwszą setkę, niewiadomo, ale i na niego przyszła w końcu śmierć. Leży w swej norze i myśli: chwała Bogu, umieram własną śmiercią, jak mój ojciec i matka. I przypomniały mu się słowa szczupaka; gdyby wszyscy tak żyli, jak ów przemądry kiełb... dobrzeby było.

Zaczął naprężać potężny swój mózg i nagle wydało się mu, że głos jakiś szepcze mu na ucho: „wszak w ten sposób, mógłby wyginąć cały ród kiełbiów!“ Wszak dla utrzymania gatunku, należy przedewszyskiem mieć potomstwo, a on go nie ma! Lecz na tem nie koniec: Aby ród kiełbi rozwinął się i spotężniał, aby członkowie jego byli dzielnymi obywatelami, niezbędnem jest, aby się wychowywali w żywiole im właściwym, nie zaś w ciasnych norach, gdzie tracą wzrok od wiecznie panujących tam ciemności. Niezbędnem jest dalej, aby mieli dobre pożywienie, nie stronili od towarzystwa, wspierali się wzajemnie i uczyli jedni od drugich cnót i wszelkich dobrych przymiotów. Albowiem taki tylko sposób życia może się przyczynić do udoskonalenia rodu kiełbi i uchronić go od skarłowacenia i zwyrodnienia w stynki.

Mylą się ci, którzy sądzą, że te tylko kiełbie mogą być uważane za godnych obywateli kraju, którzy od rozumu odchodzą ze strachu, kryjąc się w ciasnych ciemnych, norach. Nie, to nie są obywatele, leczco najmniej nieużyteczne kiełbie.

Istnienie ich, nikogo nie grzeje, ani ziębi nie przynoszą też oni nikomu chluby, zaszczytu, ani hańby... są to pasożyty, daremnie zajmujące miejsce na świecie.

Wszystko to przedstawiało mu się w umyśle tak jasno i wyraźnie, że naraz ogarnęła go chęć gwałtowna, aby wydobyć się z nory i przepłynąć tryumfalnie w szerz całą rzekę. Lecz zaledwie o tem pomyślał, wnet ogarnął go znowu straszliwy lęk, aż zaczął konać śród śmiertelnych dreszczy obawy. Żył drżąc i umierał — drżąc.

Całe życie stanęło mu naraz przed oczyma. Czy doświadczał też kiedy sam jakiej pociechy? Czy pocieszał kogo? Czy udzielił komu dobrej rady, lub powiedział dobre słowo? Czy przytulił kogo do siebie, ogrzał, obronił? Kto kiedy o nim słyszał? Kto wiedział o jego istnieniu?

I na wszystkie te pytania, musiał sobie odpowiadać: nikogo, nikomu, nikt.

Żył i drżał — oto wszystko. Nawet obecnie, gdy śmierć zagląda mu w oczy, wciąż jeszcze drży, sam niewiedząc dlaczego. Nora jego ciemna, ciasna, nie ma się gdzie obrócić; nie zajrzy do niej promień słoneczny, nie przewieje cieplejszy powiew, a on wciąż leży w wilgotnej mgle oślepły, zmięty, nikomu nie potrzebny, leży i czeka: kiedyż nareszcie śmierć głodowa położy koniec bezcelowemu jego istnieniu?

Słyszy jak w pobliżu jego nory pluskają inne ryby — może nawet kiełbiki, ale dla nich wszystkich osoba jego jest zupełnie obojętną. Żadnemu z nich nie przyjdzie choćby taka myśl: ano zapytam przemądrego kiełbia jakim sposobem zdołał przeżyć już lat sto tak szczęśliwie, że go ani szczupak nie połknął, ani rak kleszczami nie rozdarł, ani rybak nie złapał nawędkę? Płyną one sobie tuż koło niego, nie wiedząc wcale, że w tej norze dobiega teraz właśnie do kresu nędznego żywota! I co najbardziej ubliżające, że nikt go nawet mądrym nie nazywa. Ryby mówią tyle tylko jedna do drugiej: czyście słyszeli, o tym ośle kiełbiu, który nie jada, n kogo nie widuje, z nikim żadnych nie ma stosunków i tylko wciąż myśli o strzeżeniu nędznego swego życia? A wielu nazywa go wprost głupcem bezwstydnym, nie mogąc się wydziwić, jak takich niedołęgów może ścierpieć woda.

Rozmyślał o tem wszystkiem kiełb i drzemał. To jest właściwie nie drzemał, lecz utracał stopniowo świadomość i pamięć. W uszach mu zaszumiały szepty przedśmiertne, niemoc owładnęła organizmem. I przyśnił mu się znowu ten sam zwodniczy sen, że wygrał na loterji dwieście tysięcy, urosł na pół łokcia i sam zaczął pożerać szczupaki.

A podczas tych rojeń pysk kiełbia wysuwał się stopniowo coraz bardziej z nory na zewnątrz.

I nagle zniknął. Co tu zaszło właściwie, czy szczupak go połknął, czy rak zmiażdżył w swych kleszczach, czy też zmarł naturalną śmiercią i wypłynął na powierzchnię wody — nie wiadomo, gdyż ostatnie chwile jego nie miały świadka. Najprędzej, zdaje się, umarł śmiercią naturalną, z jakiej racji bowiem miałby szczupak pożerać wynędzniałego konającego, a nadto przemądrego kiełbia?